

Wojciechowski, Marian

Nowy Pobóg? : (na marginesie pracy Mirosława Dymarskiego, Stosunki wewnętrzne wśród polskiego wychodźstwa politycznego i wojskowego we Francji i w Wielkiej Brytanii 1939–1945, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999, s. 456)

Przegląd Historyczny 91/2, 275-286

2000

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

D Y S K U S J E

MARIAN WOJCIECHOWSKI
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

Nowy Pobóg?

(na marginesie pracy Mirosława Dymarskiego, *Stosunki wewnętrzne wśród polskiego wychodźstwa politycznego i wojskowego we Francji i w Wielkiej Brytanii 1939–1945*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999, s. 456)

Powyższy tytuł nie jest aluzją do „Nowego Korbuta”, korzysta tylko z przymiotnika „nowy”. „Pobóg”, czyli książka Władysława Pobóg-Malinowskiego „Najnowsza historia polityczna Polski”, w tym przypadku tom II/2 obejmujący lata drugiej wojny światowej, opublikowana w Paryżu w 1956 r., narzuciła historiografii polskiej, nie tylko na emigracji, bardzo wyraźnie zarysowany punkt widzenia, przede wszystkim na emigracyjne dzieje „Polski londyńskiej”, poprzedzone krótkim *interludium* francuskim. „Pobóg” był pierwszy; nawet ten, kto chciał się mu przeciwstawić, musiał od „Poboga” zaczynać.

Władysław Pobóg-Malinowski był zakamieniałym pilsudczykiem i w swym „wojennym” tomie bronił racji „obozu sanacyjnego” na emigracji i to w sposób pozbawiony miejscami tzw. profesorskiego obiektywizmu.

Na „Pobogu” uczyli się wszyscy młodzi adepci historii najnowszej w Polsce po 1956 r., przyjmując jego punkt widzenia często bezkrytycznie, bowiem nasz autor pierwszy odsłonił temu pokoleniu — w książce traktującej o historii — okoliczności zawarcia paktu Sikorski-Majski, odsłaniał mord katyński, o którym w kraju historykowi nie wolno było pisać, chociaż w ostrożny sposób mógł on — po 1956 r. — o Katyniu mówić, nawet z katedry uniwersyteckiej. Równocześnie „Pobóg” kształtował w umysłach młodych historyków w kraju obraz „mięczaka” Sikorskiego (którego najchętniej utopiłby w łyżce wody), a także *alter ego* generała — demonicznego intryganta, Stanisława Kota, niezbyt mądrego antysanatora-pepeesiaka — Jana Stańczyka i gen. Izydora Modelskiego, który we Francji, ale także w Wielkiej Brytanii piekł sanatorów, także tych domniemyanych, na różnie.

Jeszcze przed 1989 r. byli w kraju historycy, których stać było na własny sąd, w odezwaniu od „Poboga”, chociaż na boku zostawić go nie mogli. W wyważonej ocenie gen. Sikorskiego „pomagał” politycznie pakt zawarty z ZSRR, wbrew pilsudczykom — Raczkiewiczowi i Sosnkowskiemu.

Mam przede wszystkim na myśli ówczesną twórczość Eugeniusza Duraczyńskiego¹, również Janusza Jerzego Tereja, mimo tego, że jego piarstwo ograniczało się do spraw krajowych, Londynu jednak nie sposób było pominąć².

Począwszy od 1989 r., historycy krajowi nie byli już krępowani wymogami cenzury i mogli — badając dzieje naszej emigracji wojennej — dać swobodnie wyraz swym poglądom. Swoją własną, nietkniętą „Pobogiem” punkt widzenia kontynuował Eugeniusz Duraczyński³, pojawiła się też twórczość młodego pokolenia, wśród którego na czoło wybija się Magdalena Hułasówna. Jej zasługą jest zastosowanie w warsztacie badawczym tzw. lustra brytyjskiego; oznaczało to oderwanie się od smażenia się we własnym sosie polskich źródeł „londyńskich” i owocną w skutkach próbę spojrzenia na polski Londyn przez pryzmat źródeł brytyjskich⁴.

Nie jako na boku pozostają historycy związani z ruchem ludowym. W pewnym uproszczeniu nazwałbym ich „mikołajczykowcami”, pozbawionymi jednak ostrza skierowanego na sikorszczyków czy też piłsudzczyków. Na czoło wysuwa się w tym przypadku twórczość Romualda Turkowskiego⁵, w równej mierze Józefa R. Szaflika, który sięgnął także do krytyki „własnych szeregów”⁶.

Ale po 1989 r. zarysowała się w historiografii polskiej (nie dzielimy jej już na emigracyjną i krajową) nowa tendencja, która wyraźnie nawiązuje do „Poboga”, niekiedy twórczo go rozwijając. Mam na myśli — *exempli gratia* — studium dwóch autorów krakowskich, Andrzeja Grzywacza i Marcina Kwietnia, pt. „Sikorszczyki kontra sanatorzy” (*nota bene* — nie piłsudczycy), opublikowane w dwóch częściach w paryskich „Zeszytach Historycznych”⁷. To w sumie pokaźne dzieło, składające się w bardzo dużym procencie z cytatów (zgodnie z powiedzeniem z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, że „myśl jest to krótka przerwa pomiędzy cytatami”), pogrążyć ma „sikorszczyków”, zwłaszcza właśnie Kota, Stańczyka i Modelskiego, ale i samego Sikorskiego, wysunąć natomiast na czoło sanatorów — Sosnkowskiego i Raczkiewicza, w tej właśnie kolejności. Co spowodowało ów nawrót do „Poboga” i potępienie „sikorszczyków”?

Sprawa jest złożona, wiąże się również z sympatiami lub antypatiami wobec poszczególnych nurtów politycznych naszej emigracji. W tym przypadku jest to gorąca obrona piłsudzczyków nazwanych przez dwóch autorów sanatorami, którzy byli niesłusznie (lub nie na czasie — okres wojny) prześladowani za rzekome spowodowanie klęski wrześniowej, patriotów, których jesienią 1939 r. odkreślono „grubą kreską” i odsunięto od władzy. Po pierwsze, nie jest to „cała prawda” — wystarczy wskazać właśnie na osobę Prezyden-

¹ E. Duraczyński, *Stosunki w kierownictwie podziemia londyńskiego 1939–1943*, Warszawa 1966; i d e m, *Kontrowersje i konflikty 1939–1941*, Warszawa 1977; i d e m, *Między Londynem a Warszawą. Lipiec 1943 — lipiec 1944*, Warszawa 1986.

² J. J. Terej, *Na rozstajach dróg. Ze studiów nad obliczem i modelem Armii Krajowej*, Wrocław–Warszawa 1980.

³ E. Duraczyński, *Rząd polski na uchodźstwie 1939–1945. Organizacja, personalia, polityka*, Warszawa 1993.

⁴ M. Hułas, *Goście czy intruzi? Rząd polski na uchodźstwie, wrzesień 1939 — lipiec 1944*, Warszawa 1996.

⁵ Złaszcza: R. Turkowski, *Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej 1939–1945*, [w:] *Władze RP na obczyźnie podczas drugiej wojny światowej*, Londyn 1994.

⁶ J. R. Szaflik, *Ostatnia droga Zygmunta Gralińskiego*, [w:] *Polska między Niemcami a Rosją*, Warszawa 1997. Dymarski tej pozycji nie uwzględnił.

⁷ „Zeszyty Historyczne” nr 126 (1998) i 129 (1999).

ta RP, Władysława Raczkiewicza i na Kazimierza Sosnkowskiego; po drugie, tragizm klęski wrześnieowej wydawał się (w każdym razie wobec klęski Francji wiosną—latem 1940 r., ale i później) wystarczającym powodem do restrykcji stosowanych wobec polityków rządzących Polską po 1926 r. Ale wstrząs klęską wrześnieową przeżyło przede wszystkim społeczeństwo polskie, karmione — w każdym razie od wiosny 1938 r. — uporczywą (i w dużej mierze skuteczną) propagandą pod hasłem: Polska jest mocarstwem. Wstrząs więc był tym głębszy. W kraju rosła tymczasem legenda Władysława Sikorskiego.

W takim kontekście można lepiej rozumieć historiograficzną strategię obronną zastosowaną jedenaście lat po zakończeniu wojny przez Władysława Pobóg–Malinowskiego, trudniej natomiast pojąć współczesny naszym czasom nawrót części naszej historiografii do „Poboga”. Czas leczy wszelkie rany i oderwanie się od tkwiących już w dwudziestolecu politycznych swarów wojennej emigracji polskiej byłoby jak najbardziej na miejscu.

Taka próba wyjaśnienia, choć nie rozmiijająca się z prawdą, nie jest oczywiście wystarczająca. Zmiany polityczne, jakie nastąpiły w Polsce w i po 1989 roku oznaczały nie tylko odzyskanie suwerenności, ale i powrót do ustroju demokracji parlamentarnej. Wydawałoby się więc, że historiografia najnowsza, pozostająca zawsze pod ciśnieniem współczesności, w swej analizie przeszłości powinna raczej nawiązywać do krótkiego okresu demokracji parlamentarnej lat 1919–1926. Tymczasem stało się inaczej. W naszej współczesności, jako cząstki przeszłości i polityki przy jej pomocy prowadzonej, znaczną rolę w życiu publicznym odgrywa ciągle Józef Piłsudski, którego — przy wszystkich jego zaletach i wadach — trudno jednak zaliczyć do gorących zwolenników demokracji parlamentarnej. Tu i tam odzywa się gen. Józef Haller, jako — chyba wątpliwej próby — moralny idol współczesnej prawicy i polityczny przeciwnik sanacji, od której zresztą ta nasza prawica się nie odcina.

Współcześnie obserwowany kult Józefa Piłsudskiego, będący jednak bardzo słabym odbiciem „dyktatury Umarłego” (określenie Galeazzo Ciano) w latach 1935–1939, wiąże się z odsądzeniem Marszałka od czci i wiary w latach Polski Ludowej (zasada wahadła), choć w miarę upływu lat tej epoki w historii Polski, osoba Piłsudskiego traciła na politycznie emocjonalnym znaczeniu. Jednak, moim zdaniem, decydującym powodem powrotu do kultu Marszałka stało się zwycięstwo w 1920 r. (pierwsze od czasów wiktorii wiedeńskiej). Marszałek pobił bolszewików, bil „Ruskich” i ta spóźniona satysfakcja pozwalała na bardziej skuteczne odreagowanie kompleksów narosłych w latach 1945–1980, także w historiografii współczesnej, której pokaźna część powraca więc do „Poboga”, dla którego Piłsudski był główną postacią Polski niepodległej. Poświęconym latom wojennym tomem przedłużył on niejako Polskę dwudziestolecia. Inna rzecz — to już w ramach rozważań o historii alternatywnej — co by się działo, gdyby Józef Piłsudski zmarł późną jesienią 1939 r. na rumuńskim wygnaniu? Oszczędziła go jednak laska wczesnej śmierci.

Sądzę, że właśnie na powyższy zarysowanym tle spojrzeć należy na książkę Mirosława Dymarskiego. Tytuł jej nosi nieco barokowy charakter; objętości dzieła (456 stron) i jego zawartość wskazuje na wielką ambicję autora, by dać nową syntezę gier politycznych toczonych wśród emigracji polskiej we Francji, ale zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, w latach minionej wojny. Przedmiotem książki są tylko owe gry polityczne, co ją różni od „Poboga”, który — nieudolnie zresztą — próbował przedstawić dzieje okupacji niemieckiej, nieco lepiej — okupacji radzieckiej lat 1939–1941. Zresztą znajomość obu okupacji jest dzisiaj, ponad 40 lat po ukazaniu się książki Pobóg–Malinowskiego, tak daleko posunięta, że okupacyjne fragmenty jego książki są po prostu przestarzałe. Nie odnosi się jednak to

twierdzenie do „pobogowego” obrazu gier politycznych toczonych na emigracji. Jest to zresztą rdzeń jego książki. Stąd jej historiograficzna żywotność, bowiem spór „sikorszczycy” — „piłsudzczy” trwa nadal.

Początek dzieła Dymarskiego wróży potężny aport nowości. Wprowadza on bowiem do obiegu nowe, nieznane dotąd źródło. Jest to tzw. notes rumuński Władysława Sikorskiego, przechowywany w Instytucie Polskim i Muzeum gen W. Sikorskiego w Londynie. Całość tego źródła („Notes rumuński gen. Władysława Sikorskiego wrzesień 1939”) znajdowała się w 1999 r. w druku w londyńskich „Tekach Historycznych”⁸ (por. przyp. 57, s. 29 recenzowanej pracy). Treścią zapisków w notesie obala Dymarski twierdzenie Poboga o antysanacyjnym spisku w Rumunii, czy też o dokonanym na rumuńskiej obczyźnie zamachu stanu. Oczywiście, że tak arbitralna teza Poboga była od chwili jej postawienia nie do przyjęcia. Coś jednak na rzeczy było, mimo — tym razem — arbitralnie zaprzeczającego twierdzenia Dymarskiego. O czym bowiem rozmawiał Sikorski, już 18 września wcześniej rano, w Wyżnicy (Vijnita, tuż nad granicą polską) z ambasadorem Noëlem i oficerami francuskimi gen. Mussém i Faurym (s. 31)? Czy tylko o przyczynach klęski, czy generał zapisał całość rozmowy? Dymarski pisze (s. 32, 34), sięgając do notesu, że Sikorski był za kompromisem z całą opozycją przedwrześniową, nie wyłączając również obozu rządzącego; chciał więc chyba być stroną tego kompromisu? Dymarski napisał też, że Sikorski zanotował (chyba 20 września), że „rząd obecny i klika musi pójść precz. Na razie wstrzymać wypłatę pieniędzy. Odciąć się od tego rządu, który nie powinien dotrzeć do Francji” (s. 32). Myślał o utworzeniu rządu jedności narodowej, ale — pisze Dymarski za notesem (s. 35) — „na pewno nie wiązał swojej osoby z mającym się wyłonić rządem, czy też komitetem narodowym”. Czyli: i tak, i tak. Być może przemawia przede mną *advocatus diaboli*, jednak z notatek Sikorskiego skromnie cytowanych, przede wszystkim streszczanych, zdaje się wynikać, że u Sikorskiego kształtowała się na rumuńskim rozdrożu myśl stanięcia na czele nowej polskiej reprezentacji politycznej. Miał też być Sikorski zwolennikiem pojednania z częścią (?) obozu rządzącego i jedności narodowej, sc. całej zjednoczonej opozycji.

Przypomnieć jednak trzeba, że kompromis między opozycją przedwrześniową, którą symbolizował Sikorski, a częścią obozu rządzącego do września nie był zasługą generała, lecz okoliczności politycznych, które do zawarcia takiego kompromisu wręcz zmuszały i to zapewne — już we Francji — niezupełnie w zgodzie z poglądami Sikorskiego. Dymarski nie pisze o tym *expressis verbis*, relacjonuje tylko następujące po sobie fakty. Istota sprawy leżała w konieczności zachowania ciągłości państwowej, a było to możliwe tylko przy zastosowaniu konstytucji kwietniowej. Stąd ostatecznie osoba Władysława Raczkiewicza jako prezydenta RP naznaczonego przez Ignacego Mościckiego. Incydentu — by tak to określić — z nominacją przez Mościckiego Prezydentem RP gen. Bolesława Wieniawy-Długoszosowskiego Dymarski nie usiłuje wyjaśnić. Idąc więc za Pobogiem pisze (s. 37), że opozycja uruchomiła wszelkie środki i siły dla utracenia (u Francuzów) prezydentury Wieniawy. Dymarski pisze (s. 37), że już 26 września „poszedł z Quai d’Orsay sygnał, że nominacji tej rząd francuski nie uzna”. Jest to oczywiście twierdzenie błędne: rząd francuski mógł tylko nie uznać rządu powołanego przez Wieniawę; do osoby prezydenta

⁸ M. Dymarski, op. rec., s. 29, przypis 57. Licząc na publikację tego źródła, Dymarski, z dwoma wyjątkami, nie cytuje w swej książce dosłownie jego fragmentów, lecz je streszcza, a szkoda.

wprost wtrącać się nie mógł. Czas najwyższy już, by do spraw dobrze już znanych dorzucić w mającej ambicje nowej syntezy książce problemy do końca do dziś nie wyjaśnione. Oczywiście, w źródłach polskich tego wyjaśnienia nie znajdziemy. Potrzebne jest lustro francuskie, by bez reszty wyjaśnić kto i kiedy ze środowisk polskich inspirował Quai d'Orsay, by Francja nie uznała rządu, który powołałby Wieniawa. Potrzebna więc jest solidna penetracja źródeł francuskich, nie tylko w archiwum paryskiego MSZ. Nie sądzę, podobnie jak i Dymarski, i Pobóg, by Francuzi sami wpadli na pomysł odrzucenia osoby gen. Wieniawy-Długoszowskiego. Jeśli zaś tak było, też to trzeba ostatecznie ustalić.

Przez nominację Władysława Raczkiewicza stanął na czele państwa polityk wywodzący się z obozu rządzącego Polską do klęski wrzesniowej, choć nie z pierwszego rządu. Ta postać — moim zdaniem — niekorzystnie rzutowała na funkcjonowanie polskich władz państwowych na emigracji przez cały czas wojny, a nawet później, by w 1947 r., przed zgonem, zostawić symbol władzy w rękach piłsudczyków, przez odwołanie następcstwa pepeesowca Tomasza Arciszewskiego i mianowanie swym następcą Augusta Zaleskiego.

Nie pomogło również (w listopadzie 1939 r.) słowne przyrzeczenie Raczkiewicza (w stosunku do jego osoby nie pada w książce ani jedno krytyczne słowo), że z prerogatywy przysługujących mu z tytułu konstytucji kwietniowej będzie on korzystał tylko w porozumieniu z prezesem Rady Ministrów, czyli z Władysławem Sikorskim. Dymarski oświadczenie Raczkiewicza (s. 41) ocenia krytycznie, tzn. że przeszkadzało ono prezydentowi w wykonywaniu jego funkcji, dodajmy, władzy absolutnej. Przyrzeczenie to złamał Raczkiewicz już w lipcu 1940 r. (tzw. przesilenie lipcowe). Walka Sikorskiego i jego otoczenia o pełnię władzy dla opozycji przedwrzesniowej przegrana została już z momentem objęcia prezydentury przez Władysława Raczkiewicza⁹. Sanacja, która politycznie nic do powiedzenia nie miała w podziemiu w kraju, na emigracji na trwałe podzieliła się władzą z opozycją przedwrzesniową.

Inaczej, jak to już wzmiankowałem, widzi Dymarski prezydenta (s. 70 n.): „Osoba prezydenta Raczkiewicza była w otoczeniu premiera jako konieczny dodatek do postaci nr 1 polskiej polityki, czyli Sikorskiego. Zachowywano naturalnie względy formalne potwierdzające, iż to Raczkiewicz jest głową państwa, ale stała praca profesorów Strońskiego i Kota, aby Sikorski uwierzył w swoją gwiazdę (i misję!) poczęła z wolna przynosić owoce”. Te cierpkie twierdzenia Dymarskiego o Sikorskim i jego dwóch demonach uzupełnia autor jednak stwierdzeniem (s. 78), że ówczesna (początek 1940 r.) „krytyka władz przedwrzesniowych nie była tylko domeną ludzi z otoczenia Sikorskiego”.

Drugą osobą, którą Dymarski — jakby za Pobogiem — ocenia pozytywnie jest gen. Kazimierz Sosnkowski, w gruncie rzeczy bohater autora recenzowanej książki. Przyznaje, że generał „hamletyzował”, że (s. 294) „kunktatorska jego postawa ujawniała się w sposobie podejmowania decyzji: miało ją poprzedzić spełnienie warunków, prawie niemożliwych [do spełnienia]”. Święta to prawda, ale też są to jedyne uwagi krytyczne wypowiedziane pod adresem generała. Reszta — to komplementy wypowiedziane w toku relacjonowania faktów. Sosnkowski oceniany jest także przez pryzmat stosunku doń Sikorskiego. Ten ostatni kilkakrotnie chciał się pozbyć swego rywala, proponował mu różne ambasady,

⁹ Powoływanie prezeń rządu gen. Sikorskiego jest powszechnie znane, choć i tu istnieją luki, których nie wypełnia Dymarski, pomija natomiast (s. 39) przekazanie przez Prezydenta misji tworzenia rządu Stanisławowi Strońskiemu i rezygnacji tego ostatniego na rzecz gen. Sikorskiego. Pisze o tym, przy innej okazji, dopiero na s. 111.

ale równocześnie (s. 83) „balansował pomiędzy wiarą w to, iż gdzieś głęboko Sosnkowski nie jest lojalny [chyba się nie mylił], że jest niebezpieczny jako niekwestionowany lider” „piłsudczyków”, z tym, że jest mu potrzebny”. I w innym miejscu (s. 114): „windował” Sosnkowskiego, bo ten „zapewniał utrzymanie władzy dla... Sikorskiego, gdyż sam o nią zabiegał” [wielokropek w oryginale — MW]. Widzę to inaczej: premier chciał się pozbyć Sosnkowskiego, gdy to okazywało się niemożliwe starał się trzymać go blisko przy sobie. Przypomnieć można powiedzenie Mussoliniego o Gabriele d’Annunzio: jest jak zepsuty ząb; trzeba go wyrwać albo zalać złotem.

Ideę pojednania narodowego miał Sikorski porzucić już w grudniu 1939 r. (s. 55). Wtedy to zaczęło się na dobre prześladowanie piłsudczyków (obóz w Cerizay), blokowanie „sanatorów” w Rumunii przez powodowanie odmowy udzielenia im wiz przez Francuzów. Sikorski, przypomnijmy, pisał o tym już w swoim wrześnieowym notiesie. Wtedy właśnie (w grudniu) swoje złowrogie skrzydła rozwijali prof. Kot i gen. Modelski. Sikorski był jednak przeciwny publicznemu praniu brudów.

Taki brak równowagi sił zmieniła w sposób oczywisty klęska Francji i wymuszona przeprowadzka do Wielkiej Brytanii. W tym kontekście pisze Dymarski (s. 91): „oprócz bezustannej podejrzliwości — dla której, dodajmy od siebie, istniały powody — na poczynaniach Sikorskiego i jego ekipy zaczęła ciążyć druga słabość — przekonanie o nieomyślności”. Jest w tym ziarno prawdy, wynikające z charakteru generała. Dymarski widzi krytycznie tylko jego zachowanie się w dniach, gdy klęska Francji stawała się oczywista, choć przynajmniej (za Romanem Wapisiem, *Władysław Sikorski*, Warszawa 1978, s. 93), że jego obecność wśród walczących żołnierzy polskich powodowana była doświadczeniem wynikającym z zachowania się Rydza-Śmigłego we wrześniu 1939 r. Ale przyczyna takiego właśnie zachowania Sikorskiego leżała głębiej: stawiał on późną wiosną 1940 r. ciągle na Francję, podobnie jak jesienią 1918 r. do końca stawiał na Austro-Węgry. W obliczu klęski tych obu państw brakowało mu perspektywy; miał kłopoty z odejściem od raz przyjętej koncepcji. W 1918 r. przyszła Polska niepodległa, w 1940 r. przyszło przeprowadzić się do Londynu.

Dymarski ostro krytykuje okoliczności tej przeprowadzki. Jak wiadomo 18 czerwca 1940 przyleciał do Francji po generała Józef Retinger. Dymarski pisze (s. 46, przypis 255), że „jeśli więc miała to być akcja brytyjska, to uznać by ją wypadało za godną pożalowania improwizację”. Dlaczego tak by miało być, choć to tylko uwaga zawarta w przypisie, autor nie wyjaśnia. Czy należało Sikorskiego pozostawić jego losowi we Francji? Przecież ta „godna pożalowania improwizacja” skończyła się rozmową i porozumieniem z Churchillem co do przeprowadzki i wspólnego kontynuowania wojny z Niemcami. Dymarski zdaje się być zwolennikiem starej niemieckiej szkoły historycznej: pisania równoległej, drugiej książki w przypisach, choć nie w tych rozmiarach co Pobóg-Malinowski.

Po przybyciu władz polskich do Londynu, stanęła — już w czerwcu 1940 r. — sprawa tzw. memoriału Litauera, tj. wręzonego przez niego Sikorskiemu projektu notatki, poprawionej następnie przez Edwarda Raczyńskiego i wręzonej Brytyjczykom, bez uzgodnienia z ministrem spraw zagranicznych, Augustem Zaleskim. W notatce tej — na rzekomy sygnał z Moskwy — proponowano utworzenie armii polskiej w ZSRR; w ambasadzie Wielkiej Brytanii w Moskwie miał się znaleźć, dla tych celów, Polak — na statusie dyplomaty brytyjskiego. Jest to głośna i powszechnie znana sprawa. Powodem jej poruszenia przez piszącego te słowa jest sposób zreferowania owej afery przez Dymarskiego — wierny Pobogowi, ale z odmiennym wnioskiem końcowym. Dymarski powtarza

więc (s. 97), że Litauer otrzymał pierwotną wersję „memoriału” od Andrew Rothsteina, korespondenta TASSa w Londynie, stojącego na moskiewskich usługach, że więc „memoriał” nadany został ze stolicy ZSRR. Jak trudno Dymarskiemu oderwać się od Poboga, świadczy właśnie wniosek autora, który — zamiast od razu wziąć byka za rogi — twierdzi w końcu (s. 98), że inicjatywa w tej mierze nie mogła wyjść z Moskwy, zainteresowanej współpracą z Hitlerem, że więc za „memoriałem” stała inicjatywa brytyjska. Londynowi — zwłaszcza po przeprowadzce władz polskich — zależało na naprawieniu stosunków polsko-radzieckich, popsutych agresją z 17 września 1939. Od siebie mogą dodać: późną wiosną 1940 r. Rosjanie ukończyli właśnie mordowanie oficerów polskich, dlaczego więc miało Moskwie „zaraz potem” zależeć na tworzeniu polskich jednostek wojskowych w ZSRR? Klęska Francji, dla ZSRR mało sympatyczna, nie zmieniała tej sytuacji.

Jak wiadomo, „memoriał” był jednym z pretekstów kryzysu rządowego, tzw. przesilenia lipcowego, wywołanego przez Raczkiewicza (o podszeptach czynionych prezydentowi tu nie piszemy), który udzielił Sikorskiemu, 18 lipca, dymisji jako premierowi. Drugim powodem tego kroku prezydenta miało być zaprzepaszczenie armii polskiej we Francji. Kryzys szybko został zażegnany, zdaniem Dymarskiego, na skutek głośnej „interwencji pułkowników” i kunktatorskiej postawy Sosnkowskiego, tudzież niepowodzenia powierzonej Zaleskiemu przez prezydenta misji tworzenia rządu. Ani słowa o interwencji brytyjskiej, która faktycznie położyła kres kryzysowi (rozmowa Kennard–Łepkowski). W książce Dymarskiego nie pada ani jedno słowo krytyczne pod adresem sprawcy kryzysu — Władysława Raczkiewicza, którego racje autor zdaje się podzielać. Od siebie mogą dodać, że nie wolno było, zwłaszcza na nowym gruncie brytyjskim, wywoływać kryzysu państwa i to po to, by wreszcie „sanacja” była znowu górą.

Kolejną okazję do zwalczania Sikorskiego przez polityków zgrupowanych wokół prezydenta Raczkiewicza dało podpisanie przez generała paktu z ZSRR, powszechnie znanego jako pakt Sikorski–Majski (30 lipca 1941), po napaści Niemiec na ZSRR. Okoliczności tego wydarzenia są powszechnie znane, zwłaszcza po opublikowaniu przez Duraczyńskiego obszernej dokumentacji polskiej w tym zakresie¹⁰. W historiografii dyskusję wokół paktu rozpoczął właśnie Pobóg–Malinowski; toczy się ona po dzień dzisiejszy.

Dymarski raz jeszcze obszernie relacjonuje okoliczności zawarcia tego paktu, przy tym idzie drogą wytyczoną przez Poboga. Nowe jest twierdzenie Dymarskiego (s. 143), że przed 22 czerwca 1941 w rządowych kołach polskich „nie rozpoznano stanowisko brytyjskiego i nie przygotowano wytycznych polityki polskiej w trójstronnym układzie polsko-brytyjsko-sowieckim”. Ten zarzut wydaje się być zasadny, tyle że przygotowanie takiego stanowiska nie miało wpływu na bieg wypadków po 22 czerwca 1941.

Następna, nowa niejako próba podejścia do solidnie już przedyskutowanego problemu, to stwierdzenie, że sprawa paktu z ZSRR wywołała nowe podziały wobec ukształtowanych dotąd w łonie polskiego wychodźstwa. „Nie odnosiły się one — pisze Dymarski (s. 147) — już do oceny przeszłości czy innych elementów stosunków wewnętrznych, a opierały się na zróżnicowaniu, i to zasadniczym, postaw względem fundamentalnych

¹⁰ *Układ Sikorski–Majski. Wybór dokumentów*, wyd. E. Duraczyński, Warszawa 1990. Chyba zupełnie nieznany jest drobny, ale znamieny fakt. Otóż w Instytucie i Muzeum gen. W. Sikorskiego znajduje się oryginał, a raczej dwa oryginały tego układu. Jego tekst rosyjski podpisany został tylko przez Majskiego, tekst polski — tylko przez gen. Sikorskiego. Nie ma więc dokumentu polskiego z dwoma podpisami i rosyjskiego — również z dwoma sygnatariuszami (odbitka kserograficzna obu tekstów w posiadaniu autora recenzji).

zagadnień polskiej polityki zagranicznej”. Chodzi oczywiście o stosunek do ZSRR, zwłaszcza w aspekcie polityki brytyjskiej wobec Moskwy. Zapewne tak było (stanowisko Stronnictwa Narodowego i PPS), lecz rej w tych sprawach wodziło otoczenie Raczkiewicza.

Rzecz w tym, że to otoczenie prezydenta, zwłaszcza Zaleski i Sosnkowski, liczyli się z klęską ZSRR i uważali, że Polskę stać będzie w takich warunkach na zawarcie układu, w którym granica ryska została by uznana przez Moskwę *expressis verbis*. Miał to być warunek *sine qua non* zawarcia paktu. Dymarskiemu, przy tej okazji, zdarzył się fatalny lapsus, napisał bowiem (s. 150), że nadzieją Sosnkowskiego była — 27 lipca 1941! — zmiana sytuacji na froncie wschodnim. Wówczas właśnie — przypomnijmy — Armia Czerwona odbierała od Niemców największe lanie. Wstrzymanie pochodu niemieckiego nie leżało chyba w intencjach generała. Twierdzenie „umiejscowione” w 1941 r. mogłoby odnosić się do roku 1943. Lapsus ten nie będący przecież błędem korektorskim, nie jest chyba przypadkowy. Sosnkowski wypatrywał klęski ZSRR gdzie się dało, a rok 1941 pomylił się autorowi z odmienną sytuacją na froncie wschodnim dwa i trzy lata później. W tymże lipcu 1941 r. nadzieją Sosnkowskiego (s. 150) była również zmiana w nastawieniu Wielkiej Brytanii i USA wobec ZSRR. Jeśli nawet generał tak sądził, należało wskazać na utopijny charakter jego myślenia politycznego. Dymarskiemu wyrwało się jednak po chwili (s. 153) trzeźwe zdanie: „gdyby ZSRR się załamał, żadna umowa o granicy ryskiej nie byłaby potrzebna. W wypadku zwycięstwa [ZSRR] układu nie przestrzegaliby”. Święta to prawda, z jednym uzupełniającym twierdzeniem: Sikorski podpisał układ pod niewątpliwym naciskiem brytyjskim, ale również w przekonaniu, że ZSRR wojny nie przegra, ze złudną — być może — nadzieją na poparcie mocarstw zachodnich, które jednak było możliwe, choć nie pewne, tylko w przypadku znacznego osłabienia ZSRR w wyniku wojny. Tak się nie stało, ale ostatecznie w rezultacie paktu z 30 lipca 1941 wyprowadzono z ZSRR w 1942 r. 114 tys. osób uwolnionych z więzień i łagrów. Uratowanie im życia wystarcza, by nie hołubić Sosnkowskiego i Raczkiewicza za ich nieprzejednane (i nieskuteczne) stanowisko wobec Moskwy, lecz pochylić czoła przed Władysławem Sikorskim. Na s. 220 Dymarski pisze wprawdzie (w innym kontekście), że „Sikorski ze wszystkimi słabościami swojego charakteru był mężem stanu wyrastającym znacznie ponad poziom ludzi, których dobrał sobie do współpracy”. Piękne to słowa, ale wiemy, że — zdaniem Dymarskiego — generał dobrał sobie kreatury polityczne, spośród których łatwo było wyrosnąć.

Autor recenzowanej książki hołubi jednak przez cały czas Sosnkowskiego i nie zauważa sprzeczności w swych sądach o generale. Na s. 159 pisze, że Sosnkowski wyrażał (latem 1941 r.) gotowość utworzenia rządu, natomiast na s. 168 pisze, że postawa generała wobec układu z 30 lipca 1941 „stanowiła dostateczną podstawę do krytyki rządu, która nie miała nic wspólnego z dążeniem do jego [Sikorskiego] zdezawuowania i przejęcia władzy”.

U Dymarskiego spotykamy też przykład współczesnej nam nowomowy. Oto na s. 213 pisze nasz autor, że „wybuch wojny amerykańsko-japońskiej, 7 grudnia 1941 r., stworzył nowe perspektywy nie tylko dla ogólnościatowych zmaganiań, ale także dla interesów politycznych Polski. Do wojny przystąpił kraj głęboko oddany zasadom wolności i demokracji — co wraz z wyznawanymi przez ten naród ideami budziło zupełnie nowe i znaczniejsze nadzieje dla wsparcia sprawy polskiej”. Te słowa, przykrojone już na modłę lat dziewięćdziesiątych, kolidują jednak ze stanowiskiem USA wobec nas w Teheranie i Jałcie. Autor sumiennie „Jałtę” zrelacjonował, całą „winę” zrzucił na Churchilla, dostało się tylko (s. 421) ambasadorowi USA przy Raczkiewiczu. Skoro bowiem premierostwo

objął Tomasz Arciszewski, Arthur Bliss Lane w ogóle się w Londynie nie pokazał, pojawił się natomiast w Warszawie, latem 1945 r., po utworzeniu Rządu Jedności Narodowej.

I nie w tym dziwnego. Autor bowiem zdaje sobie sprawę z pozycji Polski na arenie międzynarodowej podczas wojny. To go różni od Poboga, który tkwił w oparach martyrologii. Omówiwszy notę sowiecką (w sprawie obywatelstwa) do rządu polskiego z 16 stycznia 1943, Dymarski pisze (s. 261), że opozycja oceniała, iż „niepowodzenia w starciu z Sowietami są skutkiem braku silnej woli, niedostatecznie stanowczej próby obrony polskiego interesu. Ich ocena nie uwzględniała całkowicie odmiennych warunków, w jakich rodziła się Polska — gdy z ich woli [pokolenia polskiego 1918 roku] powstawała — z czasem, gdy stała się przedmiotem polityki międzynarodowej. Rosja odzyskiwała swoją mocarstwowość, Polska była krajem pobitym”.

Ale prawdziwy czas próby miał dopiero nadejść. 13 kwietnia 1943 radio niemieckie ogłosiło komunikat o odkryciu grobów oficerów polskich pomordowanych wiosną 1940 r. w lasu katyńskim. Dymarski relacjonuje reakcję polską na te rewelacje, w szczególności że niemiecki strzał „w dziesiątkę” ujawnił nieszczerą grę Sowietów, nawet w obliczu wspólnego wroga, co dało opozycji wobec Sikorskiego broń do ręki. Jak wiadomo, rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z wnioskiem o zbadanie sprawy w sposób neutralny, na miejscu zbrodni, ale Niemcy — z takim samym wnioskiem — byli pierwsi. Dało to Stalinowi pretekst do zerwania (zawieszenia) stosunków dyplomatycznych z rządem polskim. Sikorski (s. 277) nie ugiął się pod naciskiem brytyjskim i wniosku do Genewy nie wycofał, odpowiedział natomiast 28 kwietnia (s. 278) stonowaną przez Brytyjczyków notą do ZSRR, w której odrzucał sowieckie sugestie współpracy z Niemcami.

Kryzys w stosunkach polsko-radzieckich był już nie do naprawienia. Dymarski nie zajął stanowiska wobec postawy rządu RP, zwłaszcza Sikorskiego, w sprawie katyńskiej i ograniczył się do relacjonowania wydarzeń.

Poruszyłem szerzej sprawę katyńską, znaną przecież powszechnie, by móc skonstatować, że po pierwsze, niemiecki strzał „w dziesiątkę” stawiał rząd polski wobec nierozwiązywalnego dylematu: jak zareagować? Każda decyzja rządu w tej sprawie była zła. W ówczesnej sytuacji nie było dobrego wyjścia. Po drugie, zabrakło w relacji Dymarskiego „lustra brytyjskiego”. Naciski Churchilla i Edena na Sikorskiego, by nie pogarszał sytuacji Polski wobec ZSRR, znane są tylko ze źródeł polskich, nie jest więc to owo „lustro”. Dymarski natomiast nie odkrył tego, co o zbrodni katyńskiej sądził osobiście Churchill, który jeszcze w nocy z 29 na 30 kwietnia 1943, gdy już było „po wszystkim”, w notatce pisanej do Edena polecał mu traktowanie sprawy grobów oficerów polskich jako przejawu polityki rządu polskiego, a nie stanowiska inspirowanego przez Anglików, bowiem „nikt nie przywróci życia t r z y l e t n i m [podkr. — MW] grobom pod Smoleńskiem”¹¹. Premier brytyjski oddzielał więc precyzyjnie własny pogląd w tej sprawie od polityki Londynu wobec Moskwy.

Sprawa katyńska przyspieszyła kryzys w łonie rządu polskiego, który — zdaniem Strońskiego wypowiedzianym w memoriale dotąd nieznanym — (wobec podróży na Bliski Wschód Sikorski nie zdążył go już przeczytać) pisał (s. 282 n.), że rząd się „zużył”

¹¹ Public Record Office Londyn, Foreign Office 371/34575. Cf. *Katalog Wystawy „Polska w oczach brytyjskich 1419–1945”*, Warszawa 1988, poz. 137.

i potrzebna jest gruntowna jego rekonstrukcja: „trzeba do rządu włączyć piłsudczyków i narodowców Bieleckiego”, powrócić do rządu ma Sosnkowski, natomiast następcą prezydenta powinien zostać mianowany Sikorski. Dymarski podziela punkt widzenia Strońskiego (chyba zupełnie nie do zrealizowania), ale cała sprawa stała się bezprzedmiotowa 4 lipca 1943, wskutek tragicznej śmierci generała w katastrofie w Gibraltarze.

Na czele rządu stanął dotychczasowy wicepremier — Stanisław Mikołajczyk. Nie lubi go Dymarski, chyba jeszcze bardziej niż Sikorskiego i w tym osądzie idzie za „Pobogiem”. Oto dwa fragmenty charakterystyki nowego premiera, rozrzucone po książce.

S. 203: Mikołajczyk „przekonany był iż krytyka wobec jego osoby nie ma racjonalnych podstaw [tak sądzi najczęściej wielu polityków] i można ją tłumaczyć spiskiem [to też znamy], osobistą niechęcią, bądź wrogością do ruchu, który reprezentował. Wystarczyła mu dyskwalifikacja jako wstecznych, sanacyjnych, staroreżimowych [polityków]”. Sądzę, że te resentmenty były niejako uprawnione; wystarczy że przypomnimy stosunek ludzi rządzących Polską po 1935 r. do chłopów, o Witosie w Brześciu nie wspominając. Dymarski jakby domaga się od Mikołajczyka wznoszenia się wysoko ponad podziałami, ale tej miary nie przykładają do Sosnkowskiego, Raczkiewicza i Zaleskiego. Tak można traktować siebie i przeciwnika we współczesnej grze politycznej, trudniej — w dążącej do obiektywizmu historiografii; Pobóg miał przynajmniej osobiste powody bycia nieobiektywnym.

S. 321: „Utrwalała się zresztą polityka okresu Sikorskiego, że premier... jest rządem [wielokropke w tekście — M W]. Do Sikorskiego takie uprawnienia przyłgnęły w sposób niejako naturalny, z przyzwolenia, [ale nie, jak widzieliśmy, z przyzwolenia Dymarskiego]. Mikołajczyk wymusił je szantażem dymisji”.

Tak jednak nie było. Już na początku swych rządów Mikołajczyk przegrał z Raczkiewiczem. Istniejący za rządów Sikorskiego spór premier — prezydent pogłębił się, zaś górę w tym sporze poczynał brać prezydent, który uparł się mianować Sosnkowskiego naczelnym wodzem, Mikołajczyk natomiast połknął upokorzenie, bowiem poprzednio wzbraniał się przyjęcia premierostwa w przypadku nominacji Sosnkowskiego. Przegrana ta ustawiła go, aż do dymisji w listopadzie 1944 r., w niedogodnej dlań pozycji wobec prezydenta. Między bajki można też włożyć przyjęcie przez Dymarskiego za własną monetę (s. 326) twierdzenia niejakiego Andrzeja Korewy, urzędnika MSW, podobno agenta radzieckiego (s. 367), o dyktaturze Mikołajczyka i Kota w Stronnictwie Ludowym. Gwiazda Kota gasła po zgonie Sikorskiego, którego „człowiekiem” był właśnie Kot, Mikołajczyk zaś szukał podpowiedzi raczej u Stanisława Grabskiego. Silna pozycja nowego premiera wynikała z bezwzględnej poparcia, jakim cieszył się on u Churchilla, a także w łonie londyńskiego Stronnictwa Ludowego. Opozycyjnej wobec Mikołajczyka działalności w Stronnictwie Stanisława Ściągłskiego i Zygmunta Nagórskiego można nie brać poważnie, co zdaje się czynić Dymarski.

W sierpniu 1943 r. Krajowa Reprezentacja Polityczna (tzw. gruba czwórka) ogłosiła deklarację porozumienia politycznego, co — pisze Dymarski (s. 316) — było „dowodem dojrzałości politycznej kierowników pracy podziemnej, skutkiem trzeźwej oceny istotnych zagrożeń dla państwa i narodu”. Zagrożenia (ze strony ZSRR i ambiwalentnej postawy mocarstw względem polskich interesów) rzeczywiście były, wątpliwe jednak było mocarstwowe remedium zawarte w deklaracji, na którą — dodajmy — znaczny wpływ miał Delegat Rządu, Jan Jankowski, Mikołajczykowi zdecydowanie niechętny¹². Czyż o „mo-

¹² Wnioskuje to z rozmowy Zygmunta Wojciechowskiego z Janem Jankowskim — w październiku lub

carstwowej” pozycji Polski nie świadczył zawarty w deklaracji (przypomnijmy, późne lato 1943 r., już po przegranej przez Niemców decydującej ostatecznie o ich klęsce na Wschodzie bitwie pod Kurskiem) postulat poszerzenia granic na zachodzie, z szerokim dostępem do morza, przy zachowaniu nienaruszalności granicy z ZSRR (s. 316). Taki postulat był wówczas (sierpień 1943 r.) wyrazem braku realizmu, nie zaś dojrzałości politycznej.

Dymarski natomiast widzi to inaczej (s. 332): „Właściwie jesienią 1943 r. na dobre rozpoczęła się walka o zachowanie suwerenności państwa polskiego, zmagania miały iść nie w tym kierunku, jakie ono ma być, tylko czy w ogóle będzie. Te j ś w i a d o m o ś c i nie mieli politycy polscy w Londynie [podkr. — MW] w okresie tworzenia nowej (a właściwie przebudowy starej) koalicji i nowego rządu. Ostrość polskich sporów będzie się potęgowała wraz z odslanianiem się imperialistycznych dążeń Rosji, o które ją podejrzewano, ale niezbitych dowodów mówiących o zamiarach nie tylko okrojenia, ale i podboju Polski jeszcze nie było”.

Twierdzenie Dymarskiego o „braku świadomości” polityków polskich w Londynie jest wręcz rewelacyjne. My, dzisiaj, też nie dysponujemy lusterkiem przyszłości i nie wiemy, co z Polską będzie się działo za dwa lata, choć mamy zapewne powody do optymizmu. Politycy polscy w Londynie mieli natomiast jesienią 1943 r., wszelkie powody do pesymizmu. W 1943 r. były to tylko złudzenia, mianowicie że może jednak powtórzy się rok 1918¹³.

Na s. 334 Dymarski krytykuje brytyjską koncepcję rekompensaty terytorialnej dla Polski (jesień 1943 r.), której Brytyjczycy mieli być autorami. Wypadnie przypomnieć, że autorstwo tej koncepcji przypisać należy Stalinowi, który w rozmowie z Sikorskim (3 grudnia 1941) mówił o słynnym terytorialnym „ciut, ciut” na wschodzie Polski, w zamian za granicę na Odrze. O tej rozmowie Sikorskiego ze Stalinem Dymarski pisze na s. 195. Jak wiadomo, Sikorski nie zapytał Stalina co rozumie on pod owym „ciut, ciut”. Dymarski pisze, że uchylenie się generała od tego zapytania mogło być źle zrozumiane, jako inspirowane strachem. Ciekawe, co by autor recenzowanej książki napisał, gdyby — z początkiem grudnia 1941 r., gdy klęski ZSRR nie można było wykluczyć — Sikorski zapytał, ile wynosić ma owe „ciut–ciut”. Wówczas premier rządu polskiego nie mógł żadną miarą — wobec Stalina — kwestionować integralności terytorialnej państwa. Inaczej w końcu 1943, a zwłaszcza w 1944 r. Wówczas sklerotyczne bezmała nieprzejednanie, wobec znanego stanowiska USA i Wielkiej Brytanii w tej sprawie nie było już skuteczną wytyczną polityki rządu polskiego; groziła utrata ziem wschodnich i nikły przyrost na zachodzie i północy. Należy pamiętać, że dla USA i Wielkiej Brytanii Polska nie była, począwszy od 1918 r., trwałym fragmentem tradycji europejskiej, jak np. — *totues proportions gardées* — Francja. 123 lata nie było Polski na mapie Europy, zdążono się już do tego przyzwyczaić, toteż terytorialna rekompensata, zwłaszcza wobec totalnej klęski Niemiec, była możliwa. Podobnie w ZSRR, gdzie — także w kwestii naszych Kresów — dodatkowo grały rolę resentymenty z 1920 r.

Twierdzeniu o zaniedbaniu, w Londynie, kwestii postulatów terytorialnych wobec Niemiec nie przeczą wypracowane przez rząd (grudzień 1943 r.) „Tezy w sprawie inkor-

raczej w początkach listopada 1944 r., odbytej w Milanówku. Byłem obecny na początku tej rozmowy, jej przebieg znam z relacji ojca.

¹³ Cf. S. K a t e l b a c h, *Rok złych wróżb 1943*, Paryż 1959, passim.

poracji oraz okupacji wschodnich terenów Niemiec” (s. 338). Postulowały one właściwie konspiracyjne („ostrożnie i poufnie”) zachowanie się rządu w tej sprawie, by nie narazić się USA i Wielkiej Brytanii. Stąd prowadziła już prosta droga do słów Tomasza Arciszewskiego (18 grudnia 1944) — „nie chcemy Wrocławia, nie chcemy Szczecina” (s. 406), co Dymarski określa jako „niezręczność ową”. Było to jednak coś więcej niż niewinny lapsus. Pamiętać bowiem należy, że jeśli przeciwnik czy też wróg polityczny wysuwa tezę dla nas — w części przynajmniej — do przyjęcia, można jej nie popierać, ale też nie należy przeszkadzać. I to zwłaszcza, gdy po 1945 r. nasza emigracja londyńska zgodnym chórem opowiedziała się za granicą na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W swych rozważaniach autor (i słusznie) pominął szczegółowe problemy w kwestii powstania warszawskiego, jako powszechnie znane. Wypadnie więc tylko wspomnieć polemicznie o depeszy (z 28 lipca 1944) Sosnkowskiego (s. 375) przeczącego wybuchowi powstania w Warszawie, a przebywającego we Włoszech, gdzie zdawał się planować — nazwijmy to tak — obłądny w swym pomysle bunt wojska walczącego na Półwyspie Apenińskim (s. 374 n.). Polemika nie dotyczy sprzeciwu Sosnkowskiego wobec mającego wybuchnąć powstania. Było to jednak działanie *ut aliquo fecisse videatur*. Wódz Naczelny, przeciwny powstaniu, nie siedzi we Włoszech, lecz w Londynie, gdzie mocą swych uprawnień mógł zakazać walki w Warszawie.

I wreszcie akcent ostatni. Dymarski jedynie relacjonuje odwołanie Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza (co stało się pod naciskiem brytyjskim) i mianowanie w jego miejsce gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego (s. 392), i stanowiska w tej sprawie nie zajmuje. Prezydent Rzeczypospolitej mianujący Naczelnym Wodzem generała, który przegrał bitwę i udaje się do niewoli, zasługuje na określenie jego czynności mianem operetki. Ale, jak wiemy, prezydent Raczkiewicz, tak u Poboga, jak i u Dymarskiego, nie podlegał krytyce, był bowiem piłsudczykiem, a to daje mu historiograficzny immunitet.